

Cena 20 gr.

SKAUT

Dwutygodnik młodzieży harcerskiej założony w r. 1911 przez A. Małkowskiego

T O M XXI
Nr. 1 (283)

ORGAN ZARZĄDÓW ODDZIAŁÓW Z.H.P.
L W Ó W — P O Z N A Ń — T O R U Ń

R O K 1934
15 WRZESIEŃ

Drodzy Druhowie i Druchny.

Dajemy Wam poraz drugi w tym roku 1-szy numer. Jako pismo młodzieży szkolnej Przeszliśmy od wakacji na nowy rocznik. Lecz numer ten różni się od poprzednie-

go pierwszego numeru. Z tamtym, nawiązując do najświetniejszych tradycji „Skauta“ przeszliśmy na dwutygodnik. Z tym zmuszeni jesteśmy zredukować okładkę. Dając Wam 20-to stronicowy numer za nieprawdopodobnie niską cenę 12·5 gr., liczyliśmy, że co 30-ty harcerz czy harcerka może na tę kwotę się zdobyć. Omyliliśmy się. Nie dlatego, żeby harcerze nie odczuwali potrzeby własnego pisma. Owszem, odczuwają, pismo zamawiają i czytają, na artykuły reagują, lecz... Lecz właśnie chodzi o te 12·5 gr. Może dlatego właśnie, że to taka

drobna kwota... Jeżeli tak, to wiedz, kochany Druhu, że dzięki Twoim właśnie 12·5 gr. dzięki temu, że nie chciało Ci się ich wysłać, bo nie wierzymy w to, żebyś nie

mógł, „Skaut“ jest uboższy o okładkę. I wiedz, że jeżeli dalej Ci się nie będzie chciało ich wysłać, „Skaut“ przejdzie spowrotem na miesięcznik.

Ale Wy tego nie chcecie. Przykro Wam już jest, żeście pozbawili „Skauta“ jego skromnej sukieneczyny i chcecie to naprawić. A naprawić nie jest trudno. Jeżeli wyrównacie swe zaległości z bieżącego roku i jeżeli do końca roku będziecie płacić regularnie swych 12·5 gr. „Skaut“ przybierze bogatszą szatę zewnętrzną. Zbliży się srebrny jubileusz „Skauta“. — Czwierćwiecze żmudnej, lecz owocnej pracy. O tem, jak na ten wielki swój dzień „Skaut“ przedstawi się światu skautowemu zdecydujecie Wy, Druchny i Druhowie. — Wier-

zymy, że przedstawi się godnie tych pokoleń, który wychowały się na nim. Wierzmy i mamy nadzieję, że tym razem nadzieja nas nie zawiedzie. REDAKCJA.

Wszyscy na Złot!

Narodowy Złot Jubileuszowy Z. H. P., który przyszłego lata odbędzie się w Spale, musi stać się wielką manifestacją sił i wartości harcerstwa, musi dać pełny obraz dorobku naszej 25-letniej pracy. Dlatego też Złot nasz musimy przygotować planowo i umiejętnie z najwyższym nakładem dobrze zorganizowanego wysiłku. Hasło tegorocznej pracy brzmi:

przygotowujemy się do Złotu!

*H. Grajunt.
m. w. w. w. Z.H.P.*

„Skaut“ na lotewskim tropie

Niecałko Rygi — na pięknym wybrzeżu, leży mała, perła urreku miejscowości, perła w naszym kapitałk wyraża Asari (Mały ocean). Perła jest nie z powodu jakichś kasyn nadmorskich, budowli wspaniałych, mro- wuli ludzi, nie... W tem celuja inne, Majori czy Bulauri. Asari zachwyca zacnywa swa śnieżno- piaszczysta plaża, zacizna i pusta, cisza i ma- jestatem boru, wielkiego, sornosnego, pełnego czaru i woni żywicznych, boru, który od niepamiętnych czasów — stojąc tuż nad plażą wzdłuż całej za- zatoki, obejmuje morze swem ciemnymi ramio- nami i jasną piaszczystą pierś.

I tu między temi siedzimi sornami, 100 kroków od morza — rozbito wielki obóz. Las świerkowy jeszcze dziś pełen jest promiennych wspomnień z tych kilku- nastu dni obcowania z czternastyma prze- wieszca zawsze wesolych i rozemnianych małych ludzi w kuszach, zielonych mundur- kach. W oczach jego bieleją jeszcze setki białych, dzwinych domków, pod które ci kusi ludkowie wzięli, spali i wylęgałi się na obródzawka, trąbki, czy drewnia- nego gongu Komendy Złotu. W uszach je- go brzmi do dziś jeszcze poważne tony hymnu lotewskiego, który codziennie rano i wieczorem, przy podnoszeniu i opu- szczeniu sztandaru — śpiewało zgodnym chó- rem kilka tysięcy młodych niarsk, słyszy jeszcze ryk, a czasami i zarżły tych dzwinych trąb, które zwa głosnikami, pamięta, jakby to dziś było, te wszystkie radosne ogniska ze śpiewami, tańcami, poważnymi widowiskami historycznymi, wyciem i grzechkami, — objawem zadowolonia zarych- mas, które obsiadły złowca nad ogniskiem, i stąpiły swe myśli i dążenia w jedno ognisko, w jedno uczucie braterstwa i mi- łości. Lzami zachodzą mu oczy na myśli o tych dymach ognisk i kuchni, na krzywe- wicznie coś gólowali, smażyli, palyli, po- bliższym usmiechem na ustach wospo- mina brodały las te grupki małych nagu- sów, co z krzykiem i śmiechem biegli w srebrzyste, spienione fale morza i przepa- dli w niem, wystawiając z daleka głowy i smac — jak mewy po szechyłałi łab lub po czystej, niemem nie zniechęciłi łab wód. Z mieta i te noce, spokojne, gwiaździste, gdy rwały się ostatnie dzwinki wieczornych

trąbek, a miasto namiotów okalało się ci- szą beżniarną, zakłócało od czasu do czasu krótkimi, urwanymi okrzykami warty nocejnej i nagle błysnięciem lalarki nocejnej.

Pamięta i te dni uroczyste, święta, niedziele, parady. Pierwszy dzień tego srod- ledzkiego i krzykliwego chłosu i bijosu, który zwa jamboree. Nad brzegiem morza na piasku tysiące nóg. Przed nimi na wzgórk u maszły. Dzwiki orkiestry i stubarne cho- ragwie suną ku niebu. Stają. Wialr niemi potrzasa i łopocze. Odład już będą tu dum- nie powitane do końca Złotu, rano pod- noszone, wieczorem opuszczone. I otdąd tu przed niemi, — odbywać się będą uroczy- stości podniosłe i ważne. Drugi dzień — niedziela — jakieś święto. Ludęk obow- y spowolniają. Ugalił swe kolana przed ofiartami. A potem w południe znów sta- nął na piasku karnie w szeregach, z szlan- darami, proporcjami, totemami i innymi dziwami. Witał Prezidenta Rzeczyposp- ołytej Lotewskiej — Alberta Kwietisa, przy- byłego w otoczeniu Rządu, Korpusu Dyplo- matycznego i władz skautowych, — gram- ktemi okrzykami — z podziwieniem... „Esi modrs“ — „Czuwaj!“ i defilają młodych, sprężystych ciał przy wtrórze orkiestr lo- tewskiej i estońskiej. Jak dobrze pamięta stary bór dzierskich Polaków, którzy po- przedzani grupą Górali i Krakowiaków — szli wśród tysięcy okrzyków „Czuwaj! Esi modrs! Niech żyją! Bravo!“! Bo też było na co patrzeć! 80-ciu chłop w chłopa, z usmiechem na ustach i sercem naciężaj! Rogate czapy, ale i dusze rogate! Pamięta on doskonale odwiedzin Prezidenta w ob- zach tych małych, zielonych ludzi. Towa- rzyszyl mu swem sercem i widział, jak go z sercem wszędzie witano i przyjmowano, jak mu pokazywano, co było najpiępsze i najładniejsze, jak go obdarowywano tem, co im było najdroższe i najładniejsze. Wi- dział zachwy Prezidenta i otoczenia w Ca- polacy potrafilii się wspaniale, pomysłowo, wygodnie, bez zbitynych ozdób, bez upiek- szania natury urządzać na tym skrawku od- wiedzanego boru! Dwa rzędy namiotów-dom- ków, rzadkich na Lotwie, wysokich odpo- wiednio i wygodnych, kryły w sobie drwa- niane łóżka, stoły i ławki, krzesła i półka, składnie i ładnie, esletywne urządzone, pokazrywane kilimami i tkaninami wyroku ludowego. Pośrodku obozu smukły maszt wieżyczka, obok po prawej stronie, w rze- dzie — wśród namiotów — artystyczna ka- pliczka, — a na przodzie obozu skromna, lecz potężna brama, z napisem „Polska“ i dwoma biało-czerwonymi chorągiewami — budynek powszechny zachowy i uznanie. No, a teraz na samym końcu, w głębi obozu, największa atrakcja nietyklo wyprawy pol-

skiej, ale i całego Złotu Lotewskiego. O- bryni hangar — największy namiot na Złocie, — z szklanymi oknami, obszernem wejściem i barwnymi widokami miast Pol- ski — na ścianie przedniej. To świetlica pol- ska — coś, czego na Złocie nikt inny nie miał, nawet Łołyse. Zaciokawony Prezy- dent wchodzi do wnętrza. Dookoła ścian stoły, pokryte wytworknemi kilimami, prze- pełnione tysiącem drobniaków — pięknych i zachwycających, — wyrobów reki Hucila czy Górala. Zbliża się do nich, ogłada z po- czywsem. Otrzymuje ich kilka na pamiętkę. Idzie dalej. Książki, książki, pisma i wy- dawnictwa. Bogata szata wewnętrzna przy- kładka jego oczy. To wydawnictwa harcer- skie i beletr. dla młodzieży. A to wydaw- nictwo ozdobne z zakresu sztuki ludowej. Przepiekne! A tam ze ścian spoglądają na dostojnych gości portrety Pana Prezidenta Rzpltej Polskiej, I-go Marszałka Polski i sp. Andrzeja Matkowskiego. Przed nimi dumnie stoją w ozdobnym stojaku sztandary, pol- skie sztandary...

„Popołudnie. Dziwne było to niedzielne popołudnie. Nagle z pod ziemi wyrosły du- gie stoły z ławami. Przykryty się szybko



Podwieczorek w obozie polskim.

biało — śnieżnymi obrusami, obrucili się kwiatami białymi i czerwonymi, nakryły mostwem szklanych podstawk, naczyń, ta- leryzków, cukiereczek, łyżeczek i t. p. Wkrótce przykuwały do siebie oczy prze- chodniów oryginalnem zespoleniem barw owoców: jasne porzeczki leżały w zgodzie tuż obok czerwonych, a czerwone, jak krew maliny — tuż przy do jasnych jak łyż. Wszystko na tym długim stole było pol- skie, białe — czerwone. Przy bramie gro- madziły się tłumy dzwiasz, ci, dlaczego wejście do obozu polskiego zamknięte, na co te gorączkowe przygotowania. Psi! To reprezentancyjni podwieczorek polski dla władz skautowych i delegacji. Proszę zro- bić miejsce!

Gdyby siedziwe, garbate drzewa, mogły ci powiedzieć, usłyszalbyś o Polsce Rzpltej Polskiej w Rydze, Paźmistrze, Beczo- wcu, o Panu Konsulu Rosickim, którzy

przybyli z żonami i gronem dostojników, — ujrzalbyś jakby na własne oczy — tryska- jącego zdrowiem Martina Huberta, nasze władze harcercskie t. j. Druha Wojewodę z Druhami Naczelnikami i Komisarzem Za- wieszca, „Dziadka Lotyszów“ — Gop- Dombrowski'a, Kom. Zagr. Lindens'a, Kom. Złotu Baltpurvins'a, oraz wielu, wielu po- ważnych i wesolych, dużych i małych, chudych i grubych delegatów reprezen- tacy zagranicznych. Na tem zielonem li- — lecie najwspanialsze i najukochańsze stroje naszych Górali i Krakowiaków.

Podwieczorek potoczył się, jakbyś z bi- cza strzelił! Herbaką, przemówieniami Druha Przew. ZHP, i Przew. LSCO, gen. Gopper- sa, pełne miłości braterskiej, owiane du- chem badełpowolewskim, popis nasze i śpiewy, — to wszystko dało w efekcie taki podwieczorek, jakiego nie widział ani Arrow- Park ani Gödöllö. Był tak pełen serdecz- ności i objawów przyjaźni, tyle nawią- zano się w czasie niego niei braterska, że choć za predko przemianiał, pamięć o nim i o poznanych w czasie niego przy- jaciolach i braciach nie zgine!

Trzeci dzień. Obóz wyludnił się. Gdzieś zniknęli prawie wszyscy, wyszli, czyżby na wycieczkę. Zwidzieli w pobliżu Słokę i Kemer, skąd wrócili pieszo brzegiem mo- rza. Zadzroszcza im sosny... Żeby tak raz przejsz piaszczystą plażą, ogładając czer- wony zachód słońca, silącego w przestwo- rzach błękitnych wód, igrać z łalami, które co chwile wdzierają się w łąd, obryzgują nieg wodroczą i cofają się szybko, unosząc piach i morszczy!

Piąty dzień. Czemużście nas opuścili na cały dzień? Gdzieżście go spędzili? Byli w Rydze. Wycieczka z obozu rano i udali się wprost na Wielki cmentarz, Cmen- tarz Braci Poległych. Złożyli wieńce i kwia- ty, pochylili sztanary i czoła w holdzie śmiercia wywalczyli

tym, co bolaterska dla następnych pokole- ń, wolność i swo- bode, ojczyznę!

A potem rozspali się na grupy i przez cały dzień palali się po Rydze, zwiedzają- jeł zabytkach potwia- kien Stare Miasto. Sko- leci zadziwił się stary, ciężko budowany Uni- wersytet. Zagrzmiła orkiestra, a w jej łakt o bruk przedmuwersy- tecki uderzyły setki nóg, przeąc się przed dygnitarzami gościnniej Rygi. (Dok. nast.)

S. AKIELASZEK.



Fot. A. Szczęciłowicz.

Tatrze, i to jest właśnie Podhale. Nie będę opisywała Podhala. Nie potrafię. Dość wiedzieć zresztą, że Kasprowiec znalazł sobie tam drugi kąt rodzinny i tam chciał pozostać po śmierci, a nie na wielkopolskich równinach. Rozumiecie chyba, że jest tam jakos całkiem odrębnie, skoro mógł poeta zostawić te dwa wobrażenia: Podhale i Wieczne Odpočcie.

Wiecej nie będę opisywała Podhala, tylko jedna lamtejsza droga, która znam, jak swoja własną. Lubie ją, mam tam dobrych znajomych. Jednym kłaniam się nisko, z innymi rozmawiam, jak z równymi. Zaczyna się ta droga w Nowym Targu zwanym krótko przez górali „miastem”. I tam zaraz na rynku pod daszkiem stoi mój patron św. Jan Kanty. Pozdrawiam go z uszanowaniem i jestem wdzięczna „miastu”, że nie postawiło tam św. Jana Nepomucena. Osobiście niemam nie przeciwko niemu, ale zauważyłam, że sie ten czekiś święty zanadto u nas zadomowił. Strzeże przerożnych nowych dróg, mostów, i gdyby żaden polski święty tego niepotrafił.

Troche dalej, przy ul. Waksmundzkiej, kłaniam się św. Dorocie, Kłęczę w kapliczce z XVI wieku, ma bardzo piękną zieloną suknie i legą kibic przepasaną złotym pasem. Ręce wznosi ku ukrzyżowaniu jak rozpaczliwym gestem. Tędy się dzieje czasami, dlaczego? Zwłaszcza podczas słonecznej pogody, kiedy za mostkiem Dunajec Czarny łączy się z Białym w wesolym nurcie, a łączy dalej, na przedmieściu Kowanice wita mnie św. Florian. Wspaniały św. Florian, naturalnej wielkości, w drzewie rzeźbiony, w helmie, w pancerzu i z rudymi faworytami. Z drewnianego dzbanka, drewniana woda polewa zamiast ognia, plomieniste nagielki zarastające dziko ogródki.

Święty wygląda tak wesoło, że wpadam w dobry humor i zaczynam rozmawieć z góralem, który nas wiezie. Najpierw o koniu, ile ma lat i jaki jest z usposobienia. A potem o gruntach. Po czemu móg i jakiej ziemi i gdzie. Bo choć nie moge kupić, ale móg to interesuje. Mam w myślach zbudowany domek z drzewa, według ślicznej, starodawnej sztuki budowniczej; takiej, jaka się przechowała tutaj na Podhalu, czysta i nietknięta. Jadąc, ustawiam go raz po lewej stronie, na okrągłym pagórze nad Dunajcem, albo po prawej stronie drogi, na przeczciu Tatr, które sa tutaj bliższe, wyraźniejsze, całe w diemnoniebskich i białyh łonach. I w tem zajęciu mijam góralskie wsiw, Waksmund, Ostrowsko, Łopuzno, Harkłowa, gdy nagle mój syn Piotrek woła: „O, wieżę w Dębnie kryją nowym gosntem!”

Rzeczywiście, wieża kościółka w Dębnie świeci z kopy drzew jasnym gosntem, jak lsyna Zmartwień! — Gązdo stację!

Kon szczyplie trawę w rowie, a my podajemy ścieżką między zboczami, zażłosiwni. Szukamy, wolamy kościelnego.

Przychodzi, otwierają, uspokajamy się. Nic się nie zmieniło. Kościelny wywodzi w zaufaniu swoje parafiańskie żale: a że to panowie konserwatorzy nie tknąć nie dadzą, nowego sprząć nie zezwala... Daj im Boże zdrowie! Wszystko niech pozostanie tak, jak trwa, od XIV wieku. Drewniane ściany i strop malowane w pasy. Przepłatają się na nich kwiaty i liście, gonia przedwianem jelenie, ślapiąją szlywno jacyś wojownicy. Moze zbójnicy. Podobno zasiedlił Janosikowi kompanioni w tej tu ławie malowanej, gdy kościółek w Dębnie był jedynym na Podhalu. Schodzili z gór szumni i wspaniali, rzucali przed ołtarze bogate ofiary. Prześliczny tryptyk w ołtarzu, srebrne kadzielnice, blam drogiego jedwabiu. Skąd? Mniejsza z tem. Niech się o to prawują z Panem Bogiem. Dla nas to tylko legenda zamknięta w kościółku w Dębnie.

Jedziemy dalej, przez drewniany most pod Huba. Trzęsie się cały. Teraz po prawej ręce Dunajec wzmocniony Białka, towarzyszy nam wzdłuż drogi. Przewieca się srebrem, szumi, bulgocze, emokta w dziurach pod kamieniami. Rybitwy polatują z piskiem nad wodą. Tędy przesłoniła lesista górką, a przed nami zjawia się na skale czorsztynski zamek. Tu dzieła się drogi, do Szczawnicy i do Sromowiec.

W pobliżu mam znajomych. Poczciwi Szelgowie w Kluskowcach. Potem Jasięk, znany awanturnik. Malować by go można i pisać o nim całe historie. Potem dalej, w Mizerner jest Zośka, która tka najpiękniejsze płótno i Jasięk Zieliński. Ten szejbie białe portki góralskie dla całej okolicy i pięknie je cyfruje kolorową włóczką, tylko i tanczyć, Jasięk Zieliński nie potrafił. Tak jak Jasięk awanturnik. Poprostu nieporadzi i tyle. Przekasaliśmy się o tem na muzyce w Mizerner. Haj! była to muzyka! Hipka! Jasięk w góralskim aż pod nosząb rzeźbionym i tak tu ten tanciec posadził do słowy, że się czegosi rozżeli i kogoś porznął nożem. To go ta zaraz w „harezeczi” zamknęli.

Ale ze wszystkimi można tu rozmawiać jak ze swoimi. Sa swobodni, godni, ciekawi spraw świata, a znający dobrze swoje sprawy, górskie. Będą o nich prawili piękna, starodawna mowa i warto słuchać.

Między innymi dalej, do Sromowiec Niżnych, do Cisowego Dworku. Tam do harscerskiej szkoły druchny Malkowskiej, wozęc mego syna Piotrka na wakacje. Z Czorsztynem piemińskie skatki bieleją już nad Dunajcem, a na prawo, za mostem, wznosi się wysoko zamek Niedzica. Mieszka w nim węgierska hrabina niechętna zwiedzającym. „Madame” napisalam do niej w zeszłym roku — wróciłam z Węgier, z Jamboerą i chciałabym zwiedzić węgierski zamek na polskiej ziemi.” —

Pozwoliła. Zwiedziliśmy dokładnie ruiny i części odnowioną, ale przynajmniej, że woleć Czorsztyn. W ruinach czorsztynskich

do dzisiaj wieje wielki wiatr historii. Czuję się go. A z Niedzicy przeszło odeszła.

Do Cisowego Dworku przyjeżdżamy akuratnie na podwieczorek. Gwar, hałas, powłania. Druhna Fidelka i druh Doktor niech mi wybaczają, jeżeli bez pytania zaliczę ich do moich przyjaciół. Wrażenie, że na pierwszy rzut oka, że są przyjaciółmi wszystkich i wszystkich, wiec i moimi. A mego Piotrka już niema. Jest już Czarny Mustang z plemienia Komanczów i ten zostaje w Cisowym Dworku. Ja niesiedzę, wracam do Lwowa, nazajutrz o czwarke rano.

Odwodzi mnie do Nowego Targu stary gazda trochę przylguchy. Jedzie także gazdżina żdziebko młodszą, koszyk jaj, kilka gęsi i garnek masła. Jadą na jarmark. Z mostu dopadają nas niedziczcy, trochę węgierska modle ubrani. Potem nadjeżdżają ci od Krosienca w niebieskich, wyszpanych serdakach. I od Szczawnicy i z Mizernernej, z Kluskowcie i od Maniowu. Jedzą. Skądś, z głębi gór zjeżdżają baco-wie. W czarnych, luszczonych, kapeluszkach, w zdobionych mosiężną blachą, w białych kozłach, cyfrowanych portkach, w kozuchach, pogładają wynioście. Twarze mają jak w brzońce odlane. Z boku zajężdżają ci z Białki, z Bukowiny, innemi drogami i pedza od Szafar, od Poronina. Całe Podhale jedzie! Przeganiają się jak na wyścigu. W tumanach dymu, w słońcu, w wietrze.

Zdaje się, że pedzi bystrzej Dunajec, że góry błęgnią i drzewa szumiące czerwcową zielenią. Przylguchy gazda ożywił się. Potem pedza konie, pokrząkuje, fantazja ponosi go — i mnie także. Droga, moga droga mijają mi w pedzie, wesola, rozkrzyczana, słoneczna. Geś wystawiła dziób z pod kózka i szczyplie mnie w nogę, ale ja nie czuje. Nie wiem nic, tylko sprzedaję, przedzej zdaję na jarmark do „miastu”. Wpadamy na jarmark w ścisku koni, wozów, w hatasie i pod figurą św. Jana Kantego przytomniejcie; niemam na sprzedaż, ani nie nie kupię. Nie moge się też ugadać za wszystkie czasy nad oszczyppką sera, ani utargować kilka groszy z pary kierepców. Cóż, jadę nagle wyzyczniej do Lwowa. Za mną w czerwcowo rano zostaje szumiące gwarem „miasto” i wesola droga...

Fot. Dr. F. Machalski.



Fot. Dr. F. Machalski.

Dwa razy jedna droga

Pewien uczony twierdzi, że raj znajdował się w Mezopotamji, inny znowu zapewnia, że na Florydy. Ja zaś, jestem świecie przekonana, że raj był na Podhalu. Twierdzenie moje poprzec może jedynym jedynym argumentem: tam, jest mi dobrze. Tam jest najpiękniej i powieźcie tamtejsze ma przedziwny smak i zapach, a wszelkie odmiany pogody, swoisty urok.

Jeżeli nie chcecie mi wierzyć, że tam właśnie, rzucił Pan Bóg na ziemię najpiękniejsze barwy jakie miał na palecie, z hojnością, z rozrzućnością — to proszę bardzo, możecie się sami przekonać. Wydrapcie się któregoś słonecznego ranka, autem albo per pedes, na Obidowa. Stańcie w pobliżu starego kościółka i spojrzcie wokół. Po obu stronach drogi scieżają się głębokie, szerokie doliny, Raby i Dunajca. Schodzą najpierw leciutkim spadem, wyścielone miękko zielenią łak. Niżej, młody ąwies rozplywa się po zboczach falującym seledynem. Za nim podchodzi płowe już zyta. Potem, jeszcze niżej, wśród ciemnozielonych plamek drzew, rozspalają się domy, różowe w słońcu, błękitne w cieniu. Z wysokości wydają się maleńkie, a opodal wśród nich, skreca się, wije się, cienki, srebrny węzeł. Dwa węzeł w dwóch dolinach, Dunajec w jednej, Raba w drugiej. Od nich znowu szerokim wyrzutem dolina podchodzi na wzgórze, płowe i seledynowe i zielone, aż wesoło pod niebem kończy się mocną, granatową kresą lasów. Ponad tym granatem błękit, najładniejszy, przejrzysty. Przelatują po nim białe puchy obłoków. Albo toczą się grube chmurzyska, rozmaicie malowane. A w najdalej dala widać Tatry, Od Bielskich, aż po Słwy Wierch, Rozumienie? Po Słwy Wierch! Wiecej od tej swiżny słońciami w błękity i granaty i fiolety. Wszystkich odcieni pasteli użył Pan Bóg, aby pokazać Tatry groźne zarazem i zwidne, jak fatamorgana. Pokazać tym, którzy stoją w słoneczne rano, pod starym kościółkiem w Obidowie.

Stamtąd można zjechać serpyntyną, prosto w kraj wżynny, rozległy, u podnóża

Z początkiem lipca pisał mi Piotrek z Cisowego Dworku — „Deszcz ciągle pada”. Potem donosił gazety, że: „Wskutek niestannych deszczów podniosła się znacznie poziom wody na Dunajcu, Kąbie, Skawie...”. Aż któregoś dnia wszystkie głosniki w całym kraju oznajmiły: „Powódź na Podhalu! — Oznamy! Nie, krzyknęły! i oddał nie słyszą się nic więcej, prócz własnego niepokoją.

A tam rzeki uwolniły się brzegów i rognęły na pola. Poloki wallej naprzód, ogromna fala, wszystko jedno kłody. Dom nie dom, droga nie droga. Powtórzyły się wędzra gór, jak w dniu Sądu Ostatecznego i wybuchy źródła nowych wód. A szare chmury sły nisko nad ziemią i ślasy gładkie deszcz.

Tak mniej więcej można to opisywać. Ale przecież! Widzieć, jak pada dom, jak ginie wszystko, przeczem w ciągu życia sierało się mięśnie, aż do ostatniego włókna, wołać ratunku w ciemną noc i słyszeć tylko ryk wodu...

Pierwszym dostępnym pociągami jechałam znowu w tamtą stronę, 28 godzin okreznia drogą, do Nowego Targu. W pociągu noc przysionia mi czesć drogi, a świt ukazał zaledwie nie czesć zniszczenia. Dopiero, gdy wjechałam na znajomą drogę... Słuchając, wierzcie od tego czasu we wszystkie zle siły, w ukryte złośliwe wodniki, w czarty lesne podrywające olbrzymie zdrowie drzewa, w obrzydłe błotne strzygi, w cały tajemny zły lud zawzięty na dobro i piękno.

O, św. Doroto! Już mi sie Twój gest rozpaczalwy nie dał dziwny. Ami św. Florian nie wydał mi sie wesoly. I nawet tej drewnianej wody z drewnianego dzbanka bylo mi za wiele, dla plomienistych nagietek utopionych w mule.

Opodal, domy Nowego Targu staly jezszce w wodzie, zawilgite, a na moście ziela olbrzymia wywra. Szaleły tu oba Dunaje, Biały i Czarny. Widziałam ich Dunajce na przesłanier 36 km. wzdłuż drogi. Zalane pola, zniszczenie zboża, most zerwany i rzucony na lake, daleko, drzewa w drzazgach, topiace zielone czuby w błocie. Wysocki brzeg drogi kolo Ostrowska wydarty zupełnie. Jedzie sie ścieżką przez namulone pole, tuż nad urwiskiem. Stary most pod Hubą, dziwnym trafem ocalał. Ma złamane przeso, chwicje sie cały. Nie moge sie oprzeć myśli, że siedzi w tym moście przyzwojne nieszczęście i czeka na sposobną chwile.

Czorstany zalany z dwóch stron. Przez Dunajec i Kluszkowianke, Malutyl ten potoczek urłisł na olbrzymia i mieszal ty na ślepo Mizerną i Kluszkowice. Poczciwym Szeligom porwał stodołę, wóz i sanie, a oni z malemi dziećmi stali w nocy na gościeniu i modlili sie, aby dom ocalał. Na drodze do Sromowice walają sie rozbite sprzety, na gwałt z domów wyrzucone. Domy zamknięte aż po dachy.

Wzdłuż drogi drzewa wyrwane z korzeniami. Te, które sie ostaly, dzwigają wszystkie co woda naniosta. Dachy, ploty, slerly miana i zboża. Pod skałka naprzecz wszystko niedzieckiego niema już drogi. Nad hutniczą wodą przeczuciu most z faszyn podparty kronieniami.

A w Sromowicach nad zniszczoną wsią wznoszą sie na stoku góry, cale i nieklniete dwa domy harcerskiej szkoły Cisowego Dworku i Orle Gniazdo. Była ta szkoła przez cały czas schroniskiem bezdomnych, a jej mieszkancy pomoca i ratunkiem ginacych. Mój Piotrek, który za- traft opisać, powtarzał beznadzie i dziecinnie: Ludzie siedzieli w nocy na dachach i mówili glosno gacierz, a z Cisowego Dworku reflektory swiecylo po wodzie...

W powrotnej drodze wiedziliśmy rodziny mieszkajace na wozach. W szalonych skleconych z resztek domow. Zelazne mosly zerwane i rzucane, jak bezu- potowna sila. Domy w Limanowej wywanemie scianami, otwierajace naociez zalosne wnetrza. I nieszczesny Nowy Sacz, stojacy w zaduchu ginacych ogrodow.

Wiedziliśmy to wszystko i nieoparla- my zapomniecie. Ale pomna tym ponurym widokiem rozpoznało sie jak tezza, ostatnie wrazenie: przy mostach i orogach, przy domach, w polach i ogrodach, juz nanowu, zawzięcie, nieustepilwie — ludnie pracowali.

Janina Ostilska.

DŁUGONOGI ZASTĘPOWYM

(Z bocianich wypraw.)

...naoągł dzień dzisiejszy znacznyc sie pewnym wzmożeniem impulsywności. Człowiek dziś urodzony o ciasnym horyzoncie myślowym z rzadkimi przebyskami inteligencji.

— Zabo — przerwał czytanie Długonogi, którego najswiezsze zainteresowania siegnęły w dziedzinie astrologii. — Zabo! — czy przypadkiem dziś nie są twoje urodziny?

Mimo horoskopów Długonogiego wzmożenie impulsywności nie nastąpiło i Zaba zachował stoicki spokój.

— Chociaz ja — prowokował w dalszym ciągu Długonogi, — tutaj jest mowa o przebyskach inteligencji, a mimo naszej długonogiej znajomości tych nie miałem sposobności zaobserwować.

Zaba ziewnął. Długi, że też cichie się trzyma zawsze ten sam rodzaj dowcipów. Przecież robiąc ze swego zastępowego idjota, dajesz ładnie wyobrażenie o członkach zastępu.

— Przepszaram — zaoponował Długonogi. — Zgadżając się na oddanie tobie

zastępu, kierowałem się tą myślą właśnie, że ty nigdy nie wymyślic nie potrafisz i że będę miał okraglutki rok spokoj.

— A więc dobrze! Zdaje ci na 24 godzin zastęp. Pokaż co ty potrafisz.

— Jak? — krzyknął Długonogi, który nie spodziewał się takiego obrotu sprawy.

— A co? Niezbyt się czujesz na siłach? Długonogi uczył, że już cofać się nie wypada.

Nie przerywaj mi, chciałem prosto powiedzieć, jak cencsz. Wprawdzie zwracam ci uwagę, że ty dla rozwinięcia inicjalnywasz mas więcej niżel 24 godzin czasu, ale zgadzam się.

Długonogi szedł wolno ulicą z marko- lnie opuszczoną głową. Kpił sobie wprawdzie o Zaby, ale w głębi ducha uznawał jego wyższość i teraz nie uśmiecha się mu zupełnie perspektywa objęcia jego stanowiska choćby na 24 godzin. Długonogi przepadał za ich bocianiami wyprawami, z prawdziwą przyjemnością maszerował na czupę i obdukiwał z latwością swym bystrym wzrokiem ślady, ale wymyślał samemu wyprawy? Nie, tego stanowczo on nie potrafił, na to był stworzony Zaba, tak jak Ostrodiob był stworzony dla wnoszenia szczyty sentymentu swemi nagłymi przyjazdami, a Zoldziob do jedzenia. Trzeba być takim idiotą jak Zabo, żebyemu Długonogiemu oddawać zastęp. Lecz tu Długonogi przypomniał sobie, że Zaba dalego mu właśnie oddał zastęp, że mu to samo przedtem zarzucił, i przyrzekł sobie uroczyście nie drażnić więcej zastępowego. Chyba... chyba... żeby naprawdę była dobra okazja, zostawił sobie po chwili furtkę na przyszłość.

A teraz jednak jestem pogięty w precel. Jedno bowiem jest pewne... Lecz niestety nie dowie sie potomoność o tem, jaka to prawda, o niewzruszonej postawie odkrył w swych rozważaniach Długonogi, gdyż nagle uczył sie sam bardzo niepewnie na swych długich pedalach, szarpnięty silnie tył. Tuż przed nosem przemknęło mu auto, a z ust zsofera poleczoły sie pare erletów.

Należy ostrożnie chodzić, mój młody panie, to miasto, — zganął go łagodnie pan, który go pociągnął wtył.

Długonogi pozziekwiał i ruszył dalej. Tak to miasto, a bociany w miście to kompletne trupy. Nagle oślnia go jakaś myśl.

„Mam”, ryknął na całą ulicę, a spostrzegłszy, że przedniodnie stanęli i zaczęli mu się pobłażliwie przyglądać, nakazał sobie kląpieniem w buzię milczenie, uśmiechnął się przyjaźnie do rozważliwych łim gestem przedniodni i pogwizdując skierował w kierunku domu.

„Cwiczenia rozpoczynają się dziś o g. 16-tej. Niedopuszczenie do przedostania się

do mego domu spięga z listem pozostawiam waszej inteligencji. O ile ona jest równa inteligencji waszego zast... Tu Zaba zakasła i dodał tonem wyjnieniasia — to kilka słów przywatnych. Podpisano: Długonogi, p. o. zastępowego.

— Aha! — przypomniał sobie Zaba. — Jest jeszcze niezrozumiale post-scriptum: „Rządze uważać na Zabe”.

— Tak, Zabeńko, — odezwał się słodkiutkiem glosikiem Cienkoszja. Nawarżył piwa, to go pij. Szukaj przedniodni po kieszienkach listu, a uważaj na policjanita, bo ja ani myśle.

— Gdy ci każe, to bedziesz musiał. — Oh, la, la... Zapomniales, że złożyłes władze w ręce Długonogiego i rozkażesz ty nie znaczą dla mnie nawet tyle... To mówiące Cienkoszja pokazał mikroskopijnie mały kawaleczek paznokcia, mającego umyślać, jak mało szcunaku wzdrużda w nim pozahowany władzy Zaba.

— Cienki, Cieniuśki, przeciez jesteś moim przyjacielem — błagał zastępowy.

— Ach tak, teraz przypomniałes sobie, że jeslen twoin przyjacielem. A gdy na ostatnich ćwiczeniach przosiłem cie, byś mnie nie wysyłał na skrzydło, bo tam wściekle bagno, kazales nam do świtu isie szkykam patrolowemu, choć noc była taka ciemna, jak twoja mózgowica. A gdy... i posyłał się na głowie biednego Zaby grał zarzutów wygrzebanych od początku istnienia zastępu Bocianów, a pod ich ciężarem zastępowy uginał sie coraz bardziej i bardziej, a twarz jego przedstawiała tak bolesny widok, że Cienkoszja zmiekl.

— Pal cie sześć — zakończył. Chodź, poszukamy tamtych, to może razem coś wymyślimy.

— Bodaj ci kicha nawalila — zaklął szpelnie Cienkonogi, zdrapując warstwe błota z nowego palla, którym go oblepilo przejeżdżajace auto.

— Weale porządne — pochwalił Cienkoszja.

— Tak, niczego sobie — ucieszył się Cienkonogi.

— Bugatti —

— Nie, Rotenweiss, Gesia 4.

— Ależ ja mówię: o aucie.

— Ach, tak, myślałem, że o palcie.

Cienkonogi umilkł, urażony tem, że nikt nie zwraca uwagi na jego nowy płaszcz.

Gromadka bocianim stala szluczona na rogu ulicy, opodal domu Długonogiego, potracana przez przedniodni, otrząskiwana błotem przejeżdżajacych aut, beznadzie jak nigdy. Od dwu godzin wypatrywały spięga z listem, który miał przekazać sie do domu Długonogiego.

Sytuacja jest beznadziejna — stwierdził Cienkoszja. Każdy z tych przedniodni może mieć list.

— Ja wiem — krzyknął nagle Zoldziob.

— No? No? — bociany ścisnęły się dookoła niego.

Zółtodziób dumny, że stał się przez chwilę ośrodkiem ogólnego zainteresowania przelknął pospiesznie kawałek chleba, który miał w rękach, przeczekał artystyczną pauzę i oznajmił:

— Śnieg będzie miał list ukryty! — Nie, będzie go nosił po mięsie w reku, tak jak tu swój chleb.

— Ale w kierunku Długiego idzie jakiś preclarz, może on ma w koszyku.

— Idź, zjedz wszystkie precele, a przekonasz się co jest na dnie — kpił Cienkonogi.

— Pst... uspokoił ich Cienkoszyja. Ta starsza pani w brązowym kapeluszu chowała przed chwilą list do torebbki. O, idźcie w naszym kierunku.

— Przepaszam bardzo — zatrzymał ją Cienkonogi.

— Proszę...

— Cieciale... eee... eee... no tatak, jak klat się Cienkonogi Cieciałem.

— No, czego pan chciał właściwie — zniecierpliwiła się dama.

— Mój kolega chciał zapytać która godzina — pospieszył mu w sukurs Zaba.

— Ach, tak. Danzistka tworzyła torebbkę. Bociany okrążyły ją dookoła, wpatrując się bacznie w wnętrze torebbki.

— Dlaczego panowie tak pilnie badacie moją torebbkę.

— Bo, bo... ma taką ciekawą konstrukcję, odrzekł niepewnie Zaba.

— Ej, rzekłby kto, że chcecie zobaczyć co mam w niej, zaniekpokoiła się jejność. Zapytając już lepiej kogo innego, która godzina. I odeszła, oglądając się podejrzliwie.

— Mam dość — zdecydował Cienkoszyja. Ta głupia historia gotowa skończyć się na komisariacie, idziemy do Długiego. Skierował się do jego domu. Za nim, jeden po drugim ruszyły bociany, z opuszczonej głowami i zawstydzonymi minami, z biednym Zabą na końcu.

— Druhu zastępowy — zgłaszał służbowo Zaba 24-to godzinemu zastępstwowemu wynik wyprawy. Nie udato nam się niestety złapać śniega.

— Długonogi uśmiechnął się ironicznie. — Wodzil oczyma od jednego bociana do drugiego stojących na baczność w szeregu i czerwonych po same komizki uszów.

— No tak, po bocianach w mięście niczego innego spodziewać się nie można było, odczwał się wreszcie. Czy ma druh mój list — zwrócił się do Zaby.

— Mam — Zaba wyjął list z kieszeni. Długonogi wziął go z rąk Zaby, zbliżył się do lampy, przyłożył do niej list, orzał nieco, a po chwili pokazał ostupiałym bocianom. List był pokryty drobniutkiemi, brązowymi literkami.

— A radziłem uważać na Zabę — uśmiechnął się Długonogi.

REFLEKSY

W „Mateczniku” semie... — „Boby”, „Jelenie”, Zubry uprawiają ciszę, względnie ze śpiewem (przez sen) gam chromatycznych w chrapaniu. — Jeszcze dolatuje pomruk „Burych Misioł...” — Jeszcze ci chętnieko brzęczą „Pszczoly...”

Warta.

Za chwilę obejmie cię chłodna, lekkiwa cisza... — warta... Oprzyj się o chropowatofuskiwy pień sosny i patrz, — zobaczysz wiele... wiem, nie krzyż się — wiem, — pokazywano ci wiele nocy, pokazywano ci wiele drzew i cudnych poetycznych księżyców — wiem, to wszystko jest szare, jak namiotowe płótno, co ci w czasie snu na nosie leży (z powodu rozluźnienia link) — to wszystko znasz tak dobrze — a jednak — jeżeli nie znasz ziemi Mickiewicza, to nie znasz tej ciszy — nie znasz tej mowy flitewskiej ziemi, która w swej prostocie jest tak samo piękna, jak Baltyk lub Tatry. Nie uchwyć się nastroju, choć go gonisz — przycałuj się w jałowcach — snuje się wśród gałęzi sosen. — Goś cicho, słodko gwarzy... Słychać drżący szep i jakby potężny, sławności nakaz. — Tobie jednak mówić nie wolno! Twoje gardło skrócone w powrót, nawet ikać nie potrafisz... — Wokół ciebie świat realny, a równocześnie krańcowo fantastyczny.

Pod ręką czujesz pień sosny porośnięty brodawczką i larceownica, — obok ciebie śpi przykucnięty krzew bujnego jałowca, — w dali, na ruchliwej sieci cieniów ślizgających się po pniach drzewnych, niktłe białe są namioty, osnute pajęczą czernią nocy — nieśmiało srebrzy się chrobotek reniferowy.

I — czujesz, że „to co było mitem, staje się czemś realnym!” (słowa Dnyh K. Wielińskiej) — bo myśli wieszczą zmianę wokół Ciebie, bo ten olbrzymi ducha żyje tu istnienie nieprzerwanem śmierzem. Tu czujesz Mickiewicza. Nie odczujesz — tylko czujesz. Czasem tak jasno i krzyślatowo mówi do ciebie, że gdy się odwrócisz i zobaczysz go wśród drzew...

Nie śmieję się, że tak sentymentalnie skali uciek, jakie się tu przeżywa, ale na końcu powiem ci jeszcze, że Mickiewicz jest tutaj wieczny. — Jest wieczny jak Znicz — tylko od Znicza trwałszy, bo niezniszczalny. Nie wierzysz? — Przyjeżdż, a przekonasz się! Tylko jeszcze jedno, o Gzamiłowa idź w pojedynkę nad Świteziją podumaj samotnie, bo wtedy porozumiesz się z Mickiewiczem.

L. K.

WPEŁACJIE PRENUMERATE NA DRUGIE PÓŁROCZE

LEŚNY



Nr. 1.

Dodatek Zuchowy dla prenumeratorów „Skauta”

TROPIENIE



PRZYGODA NAD RZEKĄ (z angielskiego)

Druga do rzeki była dość długa, to też Billy i Dick leżeli leniwie wyciągnięci na trawie i obserwowali przybrzeżne krzaki. Było rozkosznie.

Zamieniając od czasu do czasu parę słów, przyjaciela leżeli już prawie godzinę w tem odludnym miejscu, gdy jakby przedludniomy głos oznajmił im, że nie są już sami. Holf! Bob i rozbrzmiewało w pewnych odstępach czasu, budząc ciekawość obu zuchów.

Chłopcy spojrzeli na siebie równocześnie. Pchnięci jedną myślą zaczęli się człogać ku zarosłom. Gdy przypiełżyli tak blisko, że mogli widzieć poprzek krzaka, spostrzegli jakiegoś niechlujnie ubranego człowieka siedzącego na trawie. W reku jego kwilił koniec sznurka, którego drugi koniec uwiązany był dookoła szyi młodego terriera, który ciągnął sznur z całej siły w swoją stronę.

Chum! Fido! Tinker! przymilał się człowiek, lecz pies lembardziej starał się wyrwać.

Billy pociągnął w tył Dick'a. — Rozumiesz o co chodzi? — — Złodziej — szepnął Dick.

I ja tak myślę. Próbuje zgadnąć imię psa.

— Co mamy robić? — — Nikogo niema dookoła — odparł

Billy, a najbliższy dom jest kilometr stąd, a skoro tam pójdziemy, on może tymczasem odejść.

— Nasze laski chyba na nie się tu nie przydadzą? — spytał Dick.

— Myślisz, że nie dużo, musimy próbować podstępem.

— Masz pomysły! — domyślił się Dick. — Być może. Potrzeba mi długiego kija.

— Pokaż swój nóż.

— Po chwili długi, dwumetrowy kij znajdował się w ręku Billy'ego. Zuch przy-mocował do jednego jego końca otwarty nóż, tak, że wyglądał jak dzida.

— Chyba nie chcesz go tem zaatakować — zamiepokoił się Dick.

— Nie obawiaj się. Przygotuj sobie kilka kamieni. Gdy ci dam znać, rzucaj nimi poza tego włóczęgę. Popelzli naciokoło do zarosli dotykających bezpośrednio miejsca, gdzie siedział człowiek z psem. Tem tymczasem przywiał sznur do pnia grubego drzewa i palił fajkę. Billy przyczołgał się na sam skraj zagajnika, tak, że dzieliło go od psa zaledwie kilka kroków. Dał znak przyjacielowi.

Dick rzucił kamieniem w krzak za włóczęgę. Ten zerwał się i odwrócił się w kierunku krzaka. W tym momencie Billy wyciągnął swój kij i przeczał sznurak, a pies zerwał się i zaszły w krzaki.

Chłopcy wycofali się na swoje miejsce, — Pies znalazł drogę do domu — rzekł Billy. — Słyszysz, jak go woła?

Włóczęga przeskakiwał się przez krzaki i natknął się na zuchów.

— Chcecie dostać cukierki — spytał. Mój pies uciekł i skrył się w tych krzakach.

— Dobrze — krzyknął Billy i obaj zagłębili się w krzaki. Znalazli wrótcę psa i Billy wziął go na ręce.

— Nie może znaleźć drogi do domu. Predko, Bierz go i gon do gospody. Tam ci pomogą.

Dick nie dał sobie dwa razy powtarzać i ruszył z psem.

Billy wyszedł z krzaków a po chwili wylotnił się z nich włóczęga.

— A to pech! Zdaje się, że go tu niema. Nagle twarz mu się rozjaśniła. — Patrz! Twój przyjaciel go niesie.

Billy spojrział. Ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że Dick biegnie wprost ku nim

z psem na reku. Dick zmylił kierunek — pomyślał. — Nie wie, że biegnie wprost na wółczęgo — i zaczął biec naprzeciw, by zatrzymać przyjaciela, zanim będzie za płotem.

Kiedy Dick wybiegł z krzaków z psem, pierwszym co zobaczył na drodze, była granatowa czapka policjanta. Zuch opowiedział mu pospiesznie przygode.

— Tak — skinął policjant, pies został skradziony p. Jones. Przed pół godziną powiedziała mi o tem. Chodźmy, jeżeli ów człowiek jeszcze tam jest, to go złapiemy. — Ale skoro on Pana zobaczy, to ucieknie — zaniepokoił się Dick.

— Tak — odrzekł policjant.

— Mam! — krzyknął Dick. — Ja pójdę naprzód. Skoro on mnie zobaczy z psem, to przyjdzie do mnie.

— To dobra myśl — zgodził się policjant. Kto cię tego nauczył?

— To może dlatego, że jestem zuchem — odpowiedział chłopak.

Dick pobiegł więc spowrotem i teraz właśnie dobiegł do niego Billy.

— Dokąd idziesz? — krzyknął. — Wółczęgo jest tu jeszcze przecież.

— To dobrze właśnie. Chodź i patrz. Billy poszedł za nim. Wółczęgo wyszedł z krzaków z promieniejącą twarzą.

— Czy to pański pies — spytał Dick.

— Tak, to on. Należą się wam cukierki.

— A tobie należy się wzięcinie — odezwał się gruby głos za nim.

Wółczęgo odwrócił się i spostrzegł niebieski mundur policjanta.

— Zwiędliście mnie, wy... — zwrócił się złodziej — ku chłopcom.

— Daleka od nich — krzyknął policjant. A na przyszłość upewnij się, czy няма w pobliżu zuchów.



NOWY ZNACZEK

— Patrz Władek, przyniosłem ci tę niebieską Jamajkę, która ci się tak podobala u mnie — mówił Kubuś. Ja mam jeszcze trzy, wprawdzie inne, ale to nie szkodzi.

— O, dziękuję ci, — ucieszył się Władek, który zapomniał o tem, że zwykle z „tymi mikrusami”, (znaczyło to kolegami brata) nie zadawał się. — Zaraz ja wlepie.

Wyciągnął album i obaj chłopcy pograżyli się w przeglądaniu znaczków.

— A to co? — zdziwił się nagle Kubuś.

— Wlepiłeś do albumu dwa takie same?

— O! szkoda żeś zuch. Nie widzisz, że ten drugi ma nadruk? To nowy znaczek polski. Właściwie nie nowy, a stary, że Żwirka i Wigura z nadrukiem Challenge 1934.

— Alia! — mruknął Kubuś, któremu zaimponowało, że Władek wymawiał „czelendź”, a nie „szalanż”, tak jak wszyscy.

— Ale dlaczego nie wydrukował nowych, tylko stare przerobili?

— Właśnie dlatego, żeby przypomnieć wszystkim, że dzięki Żwirce i Wigurze Polska ma u siebie tego roku tyłu najlepszych lotników świata. I że samoloty pol-

skie są tak sławne, że lecą na nich nie tylko polscy lotnicy lecz obcy. I że choć polskie „okno na świat”, morze, jest malutkie to stoi przed nami otworem powietrze.

Władek, który zawsze mówił, że będzie lotnikiem i już nawet chodził na kurs modelarstwa, aż się zdążył, z takim zapalem przekonywał Kubusia. Po chwili zaś odwrwał znaczek i dał go Kubusiowi.

— Masz, weź go sobie za swoją Jamajkę.

— Dziękuję — odrzekł Kubuś. A po chwili dodał cicho:

— Wiesz Władek, ja myślę, że jeden taki nasz znaczek że Żwirka i Wigura, wart jest więcej niżeli dziesięć Jamajek.

W co się bawić?

KORKI

Nie lubicie się przygotowywać do prób? Ja też nie. Dostęć nauki jest w szkole. Dan Wam więc sposób, w jaki cała szóstka może przynieść przygotować się do próby.

Wszyscy siadają w kolo. W posrodku kładzie się kilka korków, zawsze o jednym mniej, niżeli zuchów bierze udział w grze. Wódz staje poza kalem i zartaje jednemu z zuchów jakiegokolwiek pytanie, na które wszyscy powinni znać odpowiedź. Zuch, któremu wódz zadał pytanie odpowiada głośno. Jeżeli odpowiedź jest dobra, każdy zuch chwytá korek. Dla kogo korka nie wystarczy dostaje punkt karny. Jeżeli odpowiedź jest dobra, korki zostają na miejscu, a kto dotknie się korka dostaje punkt karny. Zuch, który dostał sześć punktów karnych wypada z gry.

Gra na niedzielę.

STRAŻ GRANICZNA

Widzieliście zapewne nieraz takich pańów w jasnozielonych mundurach. Niby żołnierze a nie żołnierze, niewiadomo właściwie co to za mundury. Ci z was, którzy spędzili wakacje w pobliżu granicy wie-duczą, że jest to Straż Graniczna. Mają oni służbę bardzo ciężką, gdyż ciągle toczą wojnę. Nie wojnę taką wielką, z armatami i samolotami, ale w każdym razie niebezpieczną, bo z przemytnikami, którzy są wielkimi szkodnikami dla Państwa, gdyż przywożą z zagranicy towar i pozbawiają pracy robotników polskich. Korzystając z tego, że mamy ładną jesiń przyberzemy się na wycieczkę i tam zabawimy się w taką wojnę straży granicznej z przemytnikami. Teren do tej gry musi być nierówny, z krzakami tak by można się chować.

Gromada dzieli się na dwie partje: straż graniczna i przemytników. Straż graniczna obiera sobie jakiś pagórek lub drzewo jako gniazdo i tam zostaje. Przemytynicy zaś oddalają się od gniazda i odbywają wspólną naradę, na której obierają wódz przemytników i ustalają plan działania. Wódz przemytników dostaje jakiś naznaczony kamień lub inny przedmiot. Jest to skarb, który należy przemieścić do gniazda i którego nie wolno oddać innemu członkowi bandy. Tereż przemytynicy zaczynają się skradać do gniazda. Jednocześnie straż graniczna wyrusza na patrol, poszukując przemytników. Strażnik, który zobaczy przemytnika ma go dotknąć, a wówczas przemytnik jest schwytny. Gra toczy się tak długo, dopóki nie zostanie schwytny

słowa i rysunki GOŚCISEAWA

Z PRZYGÓD ZUSZKA TADEUSZKA



Po wakacjach i podróży
Na szerokim świecie,
Zuch nasz wrócił zdrowsi i duży
Na swe łowiskie śmiećce.



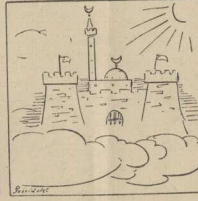
Dostał książkę zapas nową —
A że zdrowsi się czuje,
By nauka szła do głowy
Zapalczywie „kuje”.



Wrzecie kładzie się do łóżka
Gdy wśród snów czuje,
Śni się chłopcu piękna wróżka
Wśród grona rycerzy.



I wyjędła zuch nasz maly
Wraz z nimi na boje...
A koń nieszko go wspaniały
Na trudy i znoje.



Kiedy jedzie tak z orszakiem
Wzrął ponad chmury
Zamek z pół księżycą znakiem
Sterczącym do góry...



Gdy to spostrzegł wódz gromady
Zatrzymał rycerzy,
Patrzy zuch — z wruszenia błady
I oczom nie wierzył! (c. d. n.)

wódz bandy, który powinien oddać skarb. Wtedy wygrywają strażnicy. Jeżeli jednak wódz doniesie skarb do gniazda, wówczas wygrywają przemytnicy, choćby wszyscy zostali schwytani. Przemytnicy powinni więc tak ułożyć swój plan, aby odwracać uwagę strażników od wódza, choćby kosztem schwytania członka bandy.

ha! ha! ha!**ZABAWA W SŁONIA.**

Jacek mówi do mamusi:
— Zabawmy się w słonia!
— A jak się to bawi w słońca?
— A tak! Ja będę słońcem w ogrodzie zoologicznym, a mamusia, to będzie taka pani, co go karmi cukierkami.

MALY PISARZ.

Maly Jaś gryzmoli coś ołówkiem na papierze.
— Co ty robisz Jasiu? — pyta mamusia.
— Piszę list do Edka.
— Jeżeli ty nie umiesz jeszcze pisać.
— To nie, Edzek przecież nie umie czytać, co to na tem nie pozna.

$$2 + 2 = 5.$$

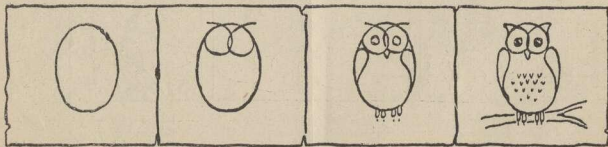
Nauczyciel mówi do chłopca.
— Jeżeli ci podaruję dwa króliki, a ojciec da ci także dwa króliki, to ile ich będziesz miał?
— Pięć — odpowiada chłopiec.
— Dlaczego?
— Bo ja jednego już mam.

WOJTER NA WYCIĘCZCE.

Wojtek: — Czy ledy droga do Pobieździk?
Wiesniak: — Tędy, ale pan jedźcie w odwrotnym kierunku.

Uczmy się rysować.

Nie umiesz rysować? Jednak sposobem, jaki podajemy niżej napewno potrafisz.



LEŚNY DUSZEK

pisemko zuchów — ukazuje się 15. i 30. każdego miesiąca pod redakcją Dr. WANDY PIKORSKIEJ - FRĄNTZOWEJ.

**List redaktorki.**

Kochane Zuchy!
Rozpoczynamy nowy rok istnienia „Leśnego Duszka”. Z listów Waszych wienię, że polubiłicie go bardzo i dumni jesteście ze swego pismka. Lecz to zamato. Żeby ono naprawdę było Wasze, to musi w niem być pełno wiadomości o Was, które Wy sami będziecie przysyłać. Wec pamiętajcie: od dziś niema gromady, o której przynajmniej raz na miesiąc nie byłoby wiadomość w „Leśnym Duszku”. Adres chyba znacie: Skaut, Lubów, ul. Długosza 1, dla „Leśnego Duszka”.

Wyciąg sprytnych główek.

Usnął zuch nasz Jurek grzecznie
Złote baśnie roi,
Jeż ryczerem jest walecznym
Srogie lozy . . .

Potem jest pastuskiem wiejskim
Owce pasie w lesie
Smutną piosnkę fujareczki
Wiatr daleko . . .

Potem znów jest chłopcem dzielnym
Co to nie zna strachu
W łózku jak powozem jeździł
Duchy strącał z . . .

Lecz najbardziej lubi Jurek
Cieszy się najszerzej
Gdy mu w śnie cudownym zda się
Ze jest już . . .

Wpiszcie ostatnie słowa zwrotek i przysyłajcie do Redakcji do dnia 22-go hm. Nagroda: piękna książka.

HARCERZE PRACUJA

Motto: Harcerstwo chce stworzyć człowieka mocnego.

Dr. M. Grażyński.

Pierwsza harcerska drużyna robocza powstała 8-go lipca br. w Malinie na Śląsku Cieszyńskim. Początkowo drużyna liczyła 31 ludzi, po kilku tygodniach zwiększyła się do pięćdziesięciu kilku harcerzy.

Drużyna pracuje przy budowie szosy wiodącej do zameczku p. Prezydenta, praca trwa 6 godzin dziennie od godz. 6-tej do 12-tej, poczem następuje przerwa do godz. 16-tej, od 16-tej do 19-tej zajęcia w zastępach, nauka śpiewu, pogadanki, W. F. i P. W., gry itp., po kolacji do godz. 21-ziej czas wolny — zajęcia świetlicowe, nauka tańców, dwa razy w tygodniu ognisko, w niedziele wielkie ognisko dla gości.

Członkowie drużyny noszą zwykłe mundury O. D. R. z tą różnicą, iż na furaczkach zamiast oznaki O. D. R. mają lilijkę harcerczą. Poza zajęciami służbowymi wolno nosić mundur harcerczy.



Drużyna podzielona jest na dwa z-py zasadnicze po 25 ludzi plus komenda: dowódca drużyny i jego zastępca, który prowadzi gospodarke i administracje drużyny.

H. O. D. R. uważana jest za jedną z najlepszych drużyn roboczych na Śląsku i cieszy się jaknajlepszą opinią wszelkich władz zarówno O. D. R., jak i harcerczych.

Przed kilkoma dniami wzywował drużynę Przewodniczący Z. H. P. wojewoda Śląski dr. Michał Grażyński, który przybył tu wraz z przewodniczącym skautów węgierskich hrabią Telemik.

Druh Wojewoda zainteresował się bliżej pracą drużyny, z uznaniem poniekrał walory wysuwające ją na czoło wszystkich O. D. R-ów i wyraził nadzieję, iż drużyna zostanie uznana wkrótce za drużynę szlurmową O. D. R-ów.

WYPRAWA PODOLSKA

10 zespołów zdających na Złot Starzo-Harcerski wędrowali szlakami podolskimi. (Wolyn, Lublin, Kalisz, Grodno, Krosno, Toruń, Gniezno, Łódź, Tarnopol, Lwów). Początek wędrowek dla zespołów wypadł z innego punktu — jak Zbarniż, Grzymałów, Jeżyzany, Borszczow, Tluste, Szekala i t. p. — Wszystkie szlaki podolskie zdążyły do Okopów Św. Tr. W Okopach rozpalono ognisko, i przy nim omówiono wartość wędrowek podolskich, ze względu krajoznawczego i pracy społecznej.

Przy tem ognisku wiara poznała się, a trud (130-150 km.) wspólnie przeżyty szybko nas złączył.

Następnego dnia droga przez Chocim, w którym warto zwiedzić Zamek, do Czerniowca autobusami.

W Czerniowcach czekała nas niespodzianka! Władze Rumuńskie państwowe i skautowe przygotowały nam bardzo gościnne przyjęcie. Wprowł z autobusów udajemy się do Cohorty Skautów rumuńskich i tu zawieramy znajomości z władzami skautowymi. Następnie z drużynami rumuńskimi z doskonałą orkiestrą maszerujemy pod pomnik Wolności, gdzie witają nas imieniem prefektury miasta i władz skautowych. Po zakwaterowaniu nas w pałacu archybiskupim i po spożyciu obiadu i kolacji razem udajemy się na boisko sportowe — na ognisko. (Ognisko ogłoszono afixszami). Na program ogniska złożyły się: hymn polski, rumuński, odczytanie prawa rumuńskiego i polskiego, pieśni polskie i rumuńskie, produkcje orkiestry tanecznej rumuńskiej i polskiej i wielki taniec Hare-mare rumuński, oraz zakończenie modlitwą: O Panie Boże! Ognisko udało się bardzo dobrze.

Władze rumuńskie tak państwowe i skautowe podkreślały swą przyjaźń do Państwa Polskiego i Polaków — Tak miał pierwszy dzień reprezentacyjny. Na drugi dzień wysuchaliśmy mszy św. następnie złożyliśmy wizytę w konsulacie polskim, po tej wizycie reprezentacja zwiędzała Czerniowce a „ważni” składali wizyty władzom rumuńskim. Wieczorem w Domu Polskim — harcerstwo polskie w Czerniowcach urządziło dla reprezentacji wieczerę o woców, którą po harcercu pogodnie i wesolo wśród kawalów i śpiewów szybko minął. Następnego dnia odjazd z Czerniowca, na dworcę znaleźli się wszyscy, którzy nam towarzyszyli przez te dwa dni, kwiaty, całowania i odjazd do Sniatyna, Kolomyi, Wrochty, by ślad znowu na swych własnych nogach dojść na Złot do Zabiego.

Dobrze nam udało w Czerniowcach, a to dzięki Komendantowi Legionu, Komendantowi Cohorty „Aron Pumuł”, Komendantce Harcerstwu Polskiemu — za co im za ich gościnność serdecznie dziękujemy.

Uczestnik.



Należytość pocztowa opłacona ryczałtem

SKAUT

dwutygodnik młodzieży harcerskiej wychodzi 15 i 30 każdego miesiąca
redakcja i administracja Lwów, ul. Długosza 1. 1. — P. K. O.: 152.818

Prenumerata (przez P. K. O. Nr. 152.818) roczna zł. 3.50, I. półrocze (11 zeszytów) zł. 1.95, II. półrocze (9 zeszytów) zł. 1.60, kwartalna zł. 1.10, miesięczna 40 gr., numer pojedynczy 20 gr.

Zagranicą: W Austrii, Czechosłowacji i Węgrzech prenumerata roczna zł. 3.50, w innych państwach zł. 5.50. W braku pisemnego odwołania prenumerata obowiązuje nadal.

ZBIOROWA PRENUMERATA ULGOWA.

Przy zbiorowym zgłoszeniu conajmniej 5 (pięciu) prenumerat: miesięczna 25 gr., kwartalna 75 gr., roczna zł. 2.50.

Godziny urzędowe codziennie z wyjątkiem świąt od 18.30—19.30 w lokalu przy ul. Jacka 1, tel. 94-04.

Wydawca: Zarząd Oddziału Lwowskiego Z. H. P. Redaktor nac. i odp. Mgr. Wiktor Frantz, Sekretarze redak.: Ludwika Tasówna i Leopold Günsberg. Kier. adm. Władysław Wenzel.

Ceny ogłoszeń: Cała strona 80 zł., 1/2 45 zł., 1/3 25 zł., 1/8 15 zł., 1/16 8 zł., 1/20 6 zł. W tekście 50% drożej. Układ dwukolorowy o 50% drożej.

Rękopisów nadestanych nie zwracamy. Odpowiedzi listownych nie udziela się. Numer dla artykułów zamyka się na tydzień przed datą wyjścia każdego numeru.

Szwalnia harcerska

mieści się przy ulicy Jabłonowskich 1. 5. budynek Okręg. Urzędu P. W. i W. F. lokal Komendy Chorągwi Harcererek.

W szwalni szyją harcerki: mundury żeńskie i męskie, bieliznę, chustki harcerskie, tarcze szkolne i t. d.

LWOWSKA SKŁADNICA HARCERSKA

PL. BERNARDYŃSKI 5.

P. K. O. 504.271.

dla udostępnienia źródłowego zakupu przyborów szkolnych podaje cennik na podstawie którego podjąć się może dostaw hurtowych dla kramów harcerskich przy szkołach.

CENNIKI. Ceny liczone — netto — za gotówkę — loko Lwów — hurtownie (tylko w oryginalnych paczkach — tuzinami, setkami i t. d. (Wysyła za pobraniem kolejowem lub pocztowem — w krótkim czasie.

Zeszyty : harcerskie znormalizowane				9,15		(za 100 szt.)
» zwykłe				10,30		» » »
» bruljony: kart.	36	48	60	72	96	144
» II	17,20	—	27, —	—	43,20	65,80
» I	23,50	30, —	37,50	45, —	60, —	90, —
wyczarne-kart.	12	20	40	60	80	100
średnie	3,40	6, —	12, —	18, —	24, —	30, —
bezdzwonne	4,80	8, —	16, —	24, —	32, —	40, —
półtward. opr.						52, —
Notatki na słówka : średnie	2, —	3,25	6,50	9,75	13, —	16,50
bezdzwonne	2,70	4,50	9, —	13,50	18, —	22,50
Bloki №	I	II	III	IV	V	VI
zwykłe	3,90	4,40	5,40	6,10	7,80	10,20
harcerskie		4,80	6,25	7,50	9,20	12,00

Bibuła: 100 ark. (wzgl. cięta do zeszytów — 900 szt.) zł. 6.50

Kreda: 1 kg. zł. —90.

Linijki: 20 cm. — 5 i pół gr.; 25 cm. 7 gr.; 30 cm. 8 gr. i t. d.

Atrament: 1 l. zł. —80; Iska — 1 l. zł. 2,20; pół l. 1,50, we flaszeczkach za tuzin 2,40, 3, — i 3,60.

Kalamarze: za 100 szt. zł. 5,50.

Raderki: pudełko zawierające: 60, 80, 100, lub 120 szt. zł. 1,80.

Pióra: za 144 szt. Nr. 176 zł. 2,03, Nr. 1411 (aluminium) zł. 2,78, r. 410 zł. 2,90.

Rączki: Nr. 03 zł. 4, —, Nr. 1101 zł. 5,50, Nr. 5012 zł. 7, —, Nr. 868 zł. 10, — za 144

Ołówki: zwykłe — »Swojak« Majewskiego zł. 8,66 » » »

Nr. 2360 (tward. I, II, III) zł. 12,25 » » »

chemiczne — Iperyt. (LOPP) » 1,95 za tuzin.

Cyrkle na ołówki: zł. 10, — za 144 szt.

Nalepki gumowane: zł. 4,50 za 1000 sztuk.

Syndetikon: zł. 2,40 za tuzin.

Strugacze z żyłką: zł. 3, — za tuzin.

Papier: koncepcyjny: zł. 8, — za 1000 sztuk.

» kancelaryjny » 14, — » » »

Koperty: 4,75 » 500 »

Pocztówki: harcerskie 1 szt. 10 gr., 50 szt. 3, —, 100 szt. 5,50.

Mydelka toaletowe, pasty, szczoteczki, ewent. inne artykuły po cenach przeciętnie 20 proc. niższych od cennika fabrycznego.

UWAGA: Cennik obejmuje tylko artykuły typowe, jednak Składnica dostarcza wszelkich artykułów powyższych działów po cenach podobnie niskich.

DRUKARNIA „EKONOMJA“ — LWÓW, UL. KOPERNIKA 18. TEL. 8-31.



archiwum
harcerskie.pl